

dów chirurgicznych, flaszeczek i aparatów elektrycznych. Piotra Moreau nie było! A że nie mógł niepostrzeżenie wymknąć się z pracowni, ukrył się więc w trumnie! Nie było wątpliwości! Więzień sam bezwiednie ułatwiał sytuację! Gewolski zatarł ręce z radości! Żeby się jednak jeszcze ostatecznie przekonać, pchnął lekko trumnę nogą. Nie poruszyła się. Wypełniona była ciężarem dostatecznym do unieruchomienia jej! Szatański uśmiech wykrzywił twarz Gewolskiego. Wziął ze stolika klucze i przekręcił wszystkie cztery zamki trumny. W tej samej chwili dobiegły go zduszone wołania. Moreau błagał lub też chciał podać sposób porozumienia się... Lecz było już zapóźno! Gewolski pochwycił gończakowo flakon zawierający chloroform i po przez szpary znajdujące się w górnej części, koło szklanego okienka, umieszczonego ponad głową, wlał zawartość flaszki do środka! Jeszcze raz dał się słyszeć głos, ale już cichszy, daleki... Piotr Moreau nie dawał znaku życia!

Może umarł? W każdym razie uśpiony był na kilka godzin! Tym razem Gewolski nie powodował się głupimi skrupułami!

Ale jak teraz pozbędzie się zupełnie dawnego towarzysza?

Gewolski spojrzał na zegarek i z rodzajem obawy wyszedł z pawilonu... Dzień się już robił pomału. A o tej porze łatwo mógł spotkać robotników, spieszących do codziennych zatrudnień. Ale los widocznie był po jego stronie tego dnia! Gęsta, szara mgła, jak sieć pajęczna, zasnuwała pola i drzewa, których kontury zaledwie były dostrzegalne! A Sekwana płynęła cicho, nie daleka! Czyż można sobie było wymarzyć coś dogodniejszego?

Jednakże Gewolski chciał przedtem jeszcze zbadać drogę, którą pójdzie, miejsce, które wybierze...

Ale powracając od rzeki, natknął się na dwóch robotników, idących do miasta. Spojrzeli na niego z nieufnością, szepcząc coś do siebie. Była to drobnostka, jednak obudziła lek i przeorność w Gewolskim. Uczuł się nagle bardzo osłabionym i ociężałym i zrozumiał, że sam jeden nie podoła zadaniu...

Czy będzie miał siły sam przynieść trumnę, a gdyby nawet to się mu udało, skąd pewność, że ujdzie niepostrzeżenie? Potrzebował współnika, to było jasne! Wtedy przypomniał sobie, że szef bandy, dostarczającej mu potajemnie trupów do laboratorium, mieszka niedaleko, przy ulicy Saint-Ouen... o dwadzieścia minut drogi zaledwie! O tej porze musiał być już w domu! Porozumienie się z nim było tylko kwestią dobrej zapłaty!

Myśl ta ożywiła go trochę; doszedł ostrożnie do domku tego rzeźmiesza i zapukał w okienicę. Nikt się jednak nie poruszył w wnętrzu lepianki. Zapukał raz jeszcze mocniej tym razem, ale równie bezskutecznie! Nie powrócił jeszcze z nocnej roboty! Gewolski zaklął na cały głos i powlókł się z powrotem. Był już zupełnie wyczerpany wypadkami tej nocy!... Nogi odmawiały mu posłuszeństwa, a z czoła ściekały grube krople potu. Cóż teraz zrobić? Sprawa się psuła niespodziewanie! Wiedział, że musi jaknajspieszniej, przed brzaskiem dnia wykonać robotę, i to sam, bez żadnej pomocy! Jak na złość mgła opadała! Od wschodu bieży już długie smugi światła! Gewolskiego opanowała niechęć! W tej chwili nie był już zdolny do żadnego czynu! i zaczął żałować, że nie skorzystał ze sposobności porozumienia się!...

Ale może jeszcze nie jest zapóźno!... Obudził Piotra Moreau, będzie z nim mówił i zgodzi się na wszystkie jego warunki... byleby skończyć już z tem wszystkim!... byleby zapomnieć!...

Ale niemałe wzruszenie czekało go za wejściem do laboratorium. Wzruszenie, które na dłuższy czas pozbawiło go zupełnie przytomności! Trumna lakowa zniknęła!

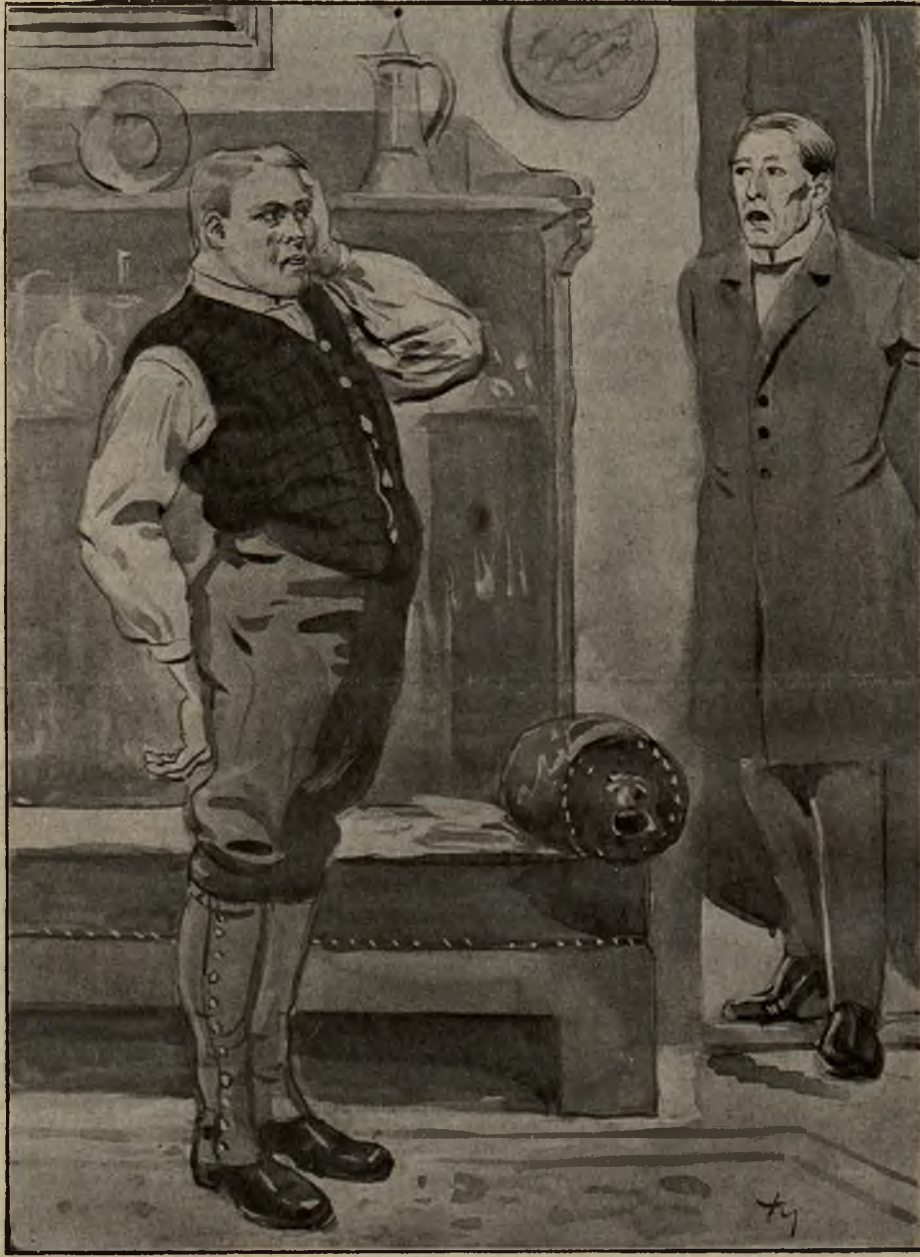
Jeszcze jedno zniknięcie.

Po złe przespanej nocy Stanisław obudził się z brzaskiem dnia we fotelu, gdzie usiadł, oczekując przybycia ojca. Pomimo zakazu Piotra Moreau, chciał on się z nim natychmiast widzieć, bo czuł, że nie może już go trzymać dłużej z nieświadomości pewnych faktów, zasztych w jego życiu. Tembardziej, że fakta

te łączyły się i z życiem jego ojca, a było niemożliwością ukrywać je dłużej.

Stanisław wołał, aby to, o czym się miał dowiedzieć jego ojciec, usłyszał od niego, a nie z ust obcego mu człowieka. Na nieszczęście Gewolski nie pokazał się w swoim mieszkaniu przez dzień cały, a nawet nie powrócił na noc! Korespondencya doktora nietknięta leżała na biurku, a Stanisław wiedział, jaką wielką wagę ojciec jego przywiązuje do listów! Musiał powrócić, albo bardzo późno i był tak zmęczony, że prosto udał się do sypialnego pokoju, albo też nie powrócił wcale! Stanisław wstał i zajrzał do drugiego pokoju. Nie było nikogo, a łóżko stało nienaruszone! Nawet na myśl Stanisławowi nie przyszło, żeby wypadki dnia poprzedniego były powodem nieobecności ojca!

Przypuszczał, że zapewne został przy chorym, lub też książę Kiwani zawezwał go do pałacu. Chciał zatelefonować do Neuilly! A jeżeli ojciec będzie niezadowolony, że miesza się w jego sprawy?! Do laboratorium zaś zwracać się nie chciał z powodu zbyt wczesnej godziny.



— Bo to panie doktorze... ja nic nie rozumiem doprawdy. Zamknąłem przecież wszystkie drzwi

Postanowił więc pójść do swojego pokoju i tam czekać na wiadomość od ojca, bo nie chciał, aby służba komentowała jego noc spędzoną w fotelu, w gabinecie doktora.

Ale Stanisław był taki zmęczony, że znalazłszy się w swojej sypialni nie mógł oprzeć się chęci położenia się na chwilę na łóżku, gdzie zasnął natychmiast.

Zbudziło go nadejście służącego, niosącego śniadanie i poranne dzienniki.

Niepokój ogarnął Stanisława przy czytaniu tych dzienników; w każdym z nich była wzmianka o „ciekawym wypadku“, jaki miał wczoraj u chorego, którego nazwiska nie wymieniono. Dość jasno jednak mówiono, że chory ten należy do najbardziej znanych osobistości Paryża i choć „cudzoziemiec“ potrafił wzbudzić zainteresowanie opinii publicznej, że był leczony przez sławnego lekarza Polaka czy też Rosyanina, przy współdziale kilku profesorów Akademii medycznej, i że wczoraj w czasie zebranego konsylium, zaszedł wypadek tak nieprzewidywany i ciekawy, że prasa czuje się w obowiązku trzymać go jeszcze czas jakiś w tajemnicy, przez wzgląd na nieprawdopodobieństwo!

W sprawę tę miał być wmieszany jakiś awan-

turnik, który wtargnął niespodziewanie, w chwili gdy otoczenie zwątpiło było już całkiem o możność utrzymania chorego przy życiu.

— Mój biedny przyjaciel! — szepnął Stanisław. Jak to się o nim wyrażają!

Inne dzienniki wystąpiły w ostrzejszej jeszcze formie.

Nieznanego nazywano szarlatanem, oszustem!

Jedno tylko pismo brało go w obronę, opisując go jako uczonego afrykańskiego, działającego w filantropijnej idei, zwalczającego z poświęceniem samego siebie, niebezpieczną i mało znaną „chorobę śpiączki afrykańskiej“!...

O „sławnym zaś lekarzu“, który nie chciał brać na siebie żadnej odpowiedzialności, i opuścił natychmiast chorego, wyrażano się dość uszczypliwie.

— Czy ojciec mój wyszedł już? — zapytał zmienionym głosem Stanisław służącego, kręcącego się po pokoju.

Służący wyszedł i powrócił po chwili z wiadomością, że pan doktor wcale dziś nie wrócił domu.

Stanisław wobec służącego udał, że to go nie

zadziwia; ojciec miał pozostać do późnej nocy przy chorym; lecz gdy pozostał sam, ogarnął go nieprzewidywany lek. Co mogło się stać z ojcem! Gdzie dotąd przebywał? Jakże gorąco pragnął być przy nim teraz i otoczyć go dowodami przywiązania, których zapewne bardzo potrzebował! Nie mogąc opanować niepokoju, Stanisław udał się do gabinetu ojca i zatelefonował do laboratorium. Nikt nie odpowiedział na jego wezwanie!

Powrócił więc do siebie i raz jeszcze przejrzał fatalne dzienniki. Wtem oczy jego napotkały szpalte, dotąd pobieżnie przerzuconą, której treść do reszty wytrąciła go z równowagi. W kilku wierszach zaledwie wspomniano o „jakiejś osobistości, która od kilku miesięcy najjawniej drwiła sobie z policyi, ukrywając się pod fałszywym nazwiskiem, a była skazaną na piętnaście lat ciężkiego więzienia, z którego zdołała uciec, nie odbywszy nawet dwu lat kary“. Władze, które nareszcie powinny go ująć i zdemaskować, nie zaarrestowały go natychmiast; czekano na dowody bardziej jeszcze przekonujące. Lecz dziś dowody te były aż nadto jawne i dokładne i w każdej chwili można było się spodziewać aresztowania tego ptaszka, a tem samem wyjaśnioną zostałaby tajemnicza historia, która rozegrała się kilka miesięcy temu w jednym z domków na przedmieściu Paryża.

— Mój przyjacielu! Mój biedny przyjacielu! — szepnął Stanisław do głębi przejęty tą smutną wiadomością. Co to za nierozwaga była z jego strony wydać się samemu, tam, w mieszkaniu lorda Cateley, licząc na wspaniałomyślność otoczenia, które zrozumieć powinno pobudki tego czynu. Dlaczego nie zwrócił się z całem zaufaniem do doktora Gewolskiego, lub też profesora Dubreuil?

Agenci policyjni, z których tak do-

broduszenie drwił Jan le Kerlack, będą teraz uszczęśliwieni, iż nareszcie mają go już w swojej mocy i nie odrzucą najmniejszej sposobności, aby mu dokuczyć i zniesławiać jego imię! Przez kilka chwil Stanisław uczuwał żal i złość do „swojego starego przyjaciela“, dlaczego przystąpił do tej operacji sam, prawie przemocą? Ale uczucie to nie trwało długo. Postanowił odszukać go i uprzedzić o możliwych poszukiwaniach policyi. Mógł jeszcze ukryć się lub uciec! W dziennikach nazwisko jego nie było jeszcze wymienione.

Jednakże przypuszczenia Stanisława, że władze nie były jeszcze pewne tożsamości Piotra Moreau, były mylne. Gdy przybył w przedmieście Rybne i stanął przed domem, gdzie zamieszkał Jan le Kerlack, zastał tam zbiegowisko, złożone z kilkudziesięciu osób. Dozorczynie kamienicy wyrzucała energicznie z bramy dwóch ludzi, którzy ośmielili się zadać jej szereg pytań co do lokatora mieszkającego na drugim piętrze.

— O którego wam chodzi? — zapytała najprzód dość ostro, bo twarze tych ludzi nie podobały się zacnej matronie. — Mam ich kilku na drugim piętrze!

(Ciąg dalszy nastąpi).